ROK VI. CHICAGO, dnia 28 go CZERWCA, 1888. **No. 26**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 28 Czerwca	Wigilia. Leona pap.	Zbroisław.
Piątek, 29 czerwca	Piotra i Pawła ap.	Wyszomir.
Sobota, 30 czerwca	Emilii i Lucyny m. m.	Cichosława.
Niedziela, 1 lipca	6ta po Św. Teobalda op.wyz.	Bogusław.
Poniedziałek, 2 lipca	Nawiedzenie N. M. P.	Ojcomił.
Wtorek, 3 lipca	Antoniego b. wyz.	Miłosław.
Sroda, 4 lipca	Józefa Kalasantego.	Wielisław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ VI-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Marka w rozdz. VIII. od w. 1 *do* 10.

W owym czasie, gdy wielka rzesza była z Jezusem, a nie mieli, coby jedli, wezwawszy Jezus uczniów Swoich, rzekł im: Żal Mi tego ludu, iż oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają, coby jedli; a jeźli je rozpuszczę głodne do domów ich, ustaną na drodze, bo niektórzy z nich z daleka przyszli. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Zkądże ich będzie mógł kto tu na puszczy nakarmić chlebem? I zapytał ich: Wiele chleba macie? Którzy rzekli: siedmioro. I rozkazał rzeszy usiąść na ziemi. A wziąwszy siedmioro chleba, dzięki czyniąc, łamał i dawał uczniom swoim, aby przed nie kładli, i kładli przed rzeszą. Mieli też i trochę rybek, i te błogosławił i kazał przed nie położyć. I jedli, i najedli się i zebrali co zbyło z ułomków, siedm koszów. A było tych co jedli, około czterech tysięcy, i rozpuścił je.

Leki na strachy smiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego razu zebrała się kupka ludzi około zdechłego psa, który leżał na drodze. Każdy coś umiał o tym psie powiedzieć. Jeden mówił: jak też to ścierwisko strasznie śmierdzi, i zatkał sobie nos; drugi powiada: co też to gnoju na nim, i napluł na niego, trzeci: patrzcie, patrzcie, to psisko już ani jednego nie ma kłaczka; czwarty rzekł: tfy, paskudnik, i pokopnął go nogą. W tem przyszedł też P. Jezus i rzekł łagodnie: „patrzcie, jak piękne i białe są zęby tego psa; świecą się jak perły.“ Oczywiście, że się wszyscy okrutnie zawstydzili, iż wszystko tylko nagany godne widzieli, zaczerwinili się i milczkiem poszli sobie. I ty tak zrób, kiedy ludzie twego bliźniego ganią i obgadują, jak gdyby on był zdechłym psem. Jestto bardzo piękną jałmużną przed Bogiem, bronić nieobecnego, który o tem nie wie i nie może ci podziękować, że się za nim ujmujesz, kiedy jego dobre imię szarpią. Wystaw sobie, co to za różnica, jeśliś przez wiele lat przeciwko nieprzytomnym nagany, posądzania i różne historye nieuczciwe wygadywał, lub jeśliś przez wiele lat zawsze pięknie mówił o nieprzytomnym bliźnim, i ujmował się za honorem jego, ile razy drudzy go chcieli splamić. Tak, to jest wielka różnica! Pewna stara pobożna osoba opowiadała mi raz, że pewien ksiądz śmiertelnie zachorował. We śnie przyszedł do niego djabeł z wielkim papierem, na którym wszystkie grzechy tego księdza były wypisane. Djabeł pokazał mu ten papier i rzekł: „teraz jużeś mój, braciszku — nie ma ratunku dla ciebie, musisz rozpaczać.“ Ksiądz mu na to: „Pan Jezus powiedział: nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; ja przez całe moje życie nikogo nie sądziłem i nikogo nie potępiałem; dla tego nie rozpaczam, bo Pan Bóg mnie też nie potępi.“ Na drugą noc znowu przyszedł djabeł z tem samem pismem, a ksiądz mu też to samo odpowiedział: „nikogo nie sądziłem, i też dla tego nie rozpaczam. Na trzecią już noc pokazał mu się Anioł stróż i ten rejestr grzechów

księdza przedarł i rzekł: „ponieważeś nie sądził, więc też nie będziesz sądzony.“ — Jeżeli masz trochę oleju w głowie, to wiem, że też tak będziesz robił. Ludzie podli obgadują drugiego, kiedy on nie jest przy tem; ludzie uczciwi robią przeciwnie: wytkną grzechy i złości bliźniemu w cztery oczy, a jeśli go nie ma, to nic nie mówią, jeno go jeszcze biorą w swoją obronę.

Dalej w Piśmie św. stoi napisane: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem dziećmi Bożemi nazwani będą.“ Nie inaczej, bo Bóg jest Bogiem pokoju i miłości. Jeżeli znasz dwóch (a takich pereł wszędzie jest aż nadto), jeżeli znasz takich, którzy sobie nieprzyjaźń świadczą, to się znaczy, że nie przemówią do siebie ani słówka z wielkiej nienawiści i zawziętości na siebie, jeno kiedy się spotkają, to się przezywają, wygadują na siebie niestworzone rzeczy, tobyś i tu mógł zrobić niezły interes. Staraj się zbliżyć do nich, i tego czarta nienawiści, który ich opętał, wypędzić. Proś ich, zaklinaj, upominaj i rób,co tylko możesz, aby ci ludzie patrzeli sobie mile i po przyjaźni w oczy, a zastarzałą zawziętość zagrzebali w niepamięci. Zaiste, pogodzić kłótników, tyle nieraz znaczy, jak gdybyś palący się dom uratował. Jeśli sam należysz do jednej z tych kłócących się osób, to najlepiej zrobisz, jeśli zamilkniesz i ustąpisz. Ustąpić jest bardzo piękną rzeczą, kiedy się dzieje w dobrym zamiarze, i jeśli ty dla miłego spokoju ustąpisz, to ci i za to Bóg kiedyś zapłaci i nagrodzi, jeszcze może więcej, jak za to, coś tam dał ubogim. Krzywda wyrządzona bliźniemu, to jest jak gdyby ci kto skorup i szpilek nakładł w łóżko śmiertelne, zaś niesprawiedliwość ponosić, aby tylko kłótni nie sprowadzić, jest bardzo skutecznem lekarstwem na śmiertelne poty w czasie konania. Czytaj o tem więcej u Mateusza św. w rozdziale 5 wierszu 39 i następnych.

Ale najlepszym uczynkiem miłosiernym, który też najwięcej waży, jest, jeśli duszę, która się topi lub już utonęła w grzechach, wyciągniesz i do nawrócenia przyprowadzisz. A nie jest to zbyt trudno. To przecie możesz twego znajomego lub przyjaciela, którego djabeł na powrozie grzechu,

jak rzeźnik cielę, do piekła prowadzi, tak długo prosić serdecznie, aż wnijdzie w siebie samego, powróz rozerwie i nowe zacznie wieść życie. Albo możesz jaką dziewczynkę, która z domu uciekła, z miłosiedzia dla jej duszy, wziąść do siebie. Zakaż jej w nocy wylatywać, wdawać się z chłopakami w konszachty. Oducz ją klątwy i przezywania, a przyzwyczajaj do pacierza i porządku, posyłaj ją regularnie na kazanie i na katechizm, a potem wypytuj ją, czego się nauczyła. Po nieszporach zaś w niedzielę daj jej jaką dobrą książkę, niech sobie poczyta i tak się zabawi.

Jeszcze jedno, a co jest jakby perłą między uczynkami miłosiernemi. *Weźmij do siebie jakie dziecko, wychowaj je po chrześciańsku i wykieruj je na bogobojnego, cnotliwego człowieka.* — To dziecko nie potrzebuje być sierotą; może ono mieć rodziców, ale którzy tak żyją, żeby dla tego dziecka lepiej było, gdyby nie żyli, gdyż bardzo złych rzeczy je uczą; uczą je żebrać, kłamać, kląć, zaprawiać się do gorzałki, i samo się tych złych rzeczy uczy od rodziców, gdyż ciągle słyszy same klątwy, kłótnie, plugawe mowy, a mało modlitwy. Zatrzymaj się teraz, bracie, chwilkę i przejdź sobie w myśli wszystkie domy, czy tam nie ma gdzie takiego dziecka. Może Ojciec niebieski tego dziecka wskażę ci je, abyś je wyrwał z wiecznej zguby i mówi do ciebie wewnątrz: „Weźmij je do siebie, ja ci zapłacę koszta jego wychowania.“ Rozmów się z żoną, albo z mężem; nic sobie nie rób z tego, że ci to tak dziwaczno i ludzie tam gadają trochę, toć właśnie dla tego będziesz miał większą zasługę. Weźmij, o drogi bracie, jeśli masz serce chrześciańskie, takie dziecko do domu twego. Słuchaj, Zbawiciel Jezus puka do drzwi twoich z biednem dzieckiem na ręku i prosi cię sam o to, bo mówi: „Kto takie dziecko przyjmie w imię moje, ten mnie przyjmie.“ Jeśli mnie usłuchasz, to jak będziesz kiedyś umierał, każ takiemu dziecku usiąść przy łóżku twojem a zobaczysz, jak to będziesz słodko, z nadzieją i pociechą umierał. A kiedy Aniołowie na sądzie ostatecznym przeczytają ludzi, którzy mają stanąć na prawej, a którzy na lewej stronie, to Anioł stróż tego dziecka, któregoś duszy i ciału wyświadczył

miłosierdzie, wyszuka cię i znajdzie, kiedy ty, pełen strachu i przerażenia, pomiędzy wielką chmarą zaczniesz już wyć i zębami dzwonić; — i rozmówi się ten Anioł stróż z innymi Aniołami, aby cię wzięli na prawą stronę, do tych, którzy mają iść do nieba, i musiałbyś już być ostatnim kpem i żyć jak jaki szubienieznik, gdy cię nie mogli już na żaden sposób na prawej stronie postawić. Niesłuchaj djabła sknerstwa i twardego serca, który ci to miłosierdzie odradza. A jeśli już żadną miarą takiego dziecka do siebie wziąść nie możesz, boć ja tam nie znam twego położenia tak dokumentnie, to przynajmniej co rok daj parę złotych na taką ochronkę, gdzie się chowają osierociałe dzieci; każdy ksiądz przyjmie twój datek i pośle, gdzie się należy. Jest to przynajmniej coś, i więcej znaczy, jak gdybyś wcale nic nie uczynił. Jest jeszcze wiele innych sposobów okazania swej miłości i miłosierdzia ku bliźniemu, jeśli tylko chcesz, a masz serce czułe i ludzkie, a sknerstwo i łakomstwo cię nie opanowało. Ale żebyś się czasem nie nudził, a nauka moja ci lepiej przypadła do gustu, i abyś się starał o wykonanie wiele dobrych uczynków, dopóki jeszcze czas i pora, to ci tu opowiem jedną historyą. Już temu dość dawno żył sobie pewien człowiek, do którego przyszedł posłaniec i zawezwał go, aby stanął przed najwyższymi sędziami. Skoro tylko ten to usłyszał, krew mu wszystka uderzyła do głowy i serce mu gwałtownie bić poczęło i nie mógł się utrzymać na nogach dla tego zapozwu przed sąd. Wiedział bowiem, że to z nim nie koniecznie dobrze stoją rzeczy, a tam przed sądem kaducznie ostro i nie przelewki. Cóż tu począć? Rozważał wiele i długo, i poszedł do swoich najmilszych przyjaciół, z którymi każdy dzień obcował i płaczącym głosem prosił ich na rany Boskie, żeby jeno poszli z nim do sądu i tam się za nim wstawili. Ale skoro ci usłyszeli, o co chodzi, obrócili się tyłem i udali, jakoby go wcale nie znali. Więc zakłopotany ten człowiek poszedł do kilku z swego krewieństwa. Ci mu obiecali i też go rzeczywiście odprowadzili aż pod bramę sądu. Ale tutaj woleli go samego zostawić, i wrócić się do swych żon i dzieci. Teraz myślał, że już od całego świata opuszczony; ale

ni ztąd ni zowąd kilku ludzi mu się ofiarowało, że pójdą z nim i będą go bronili. Tak też zrobili. Stanęli z nim przed sędzią, tak się za nim ujęli, że nie tylko został uwolniony, ale nawet jeszcze odebrał pochwałę i nagrodę. Ale teraz jeszcze nie koniec tej historyi; rzecz główna teraz dopiero przyjdzie, to jest wyłożenie jej. Ty sam, bracie, jesteś tym człowiekiem; posłańcem, który cię zapozywa, jest śmierć; a kto jest tym surowym sędzią, to pewnie już się domyślasz; jest nim wszystkowiedzący i święty Pan Bóg. Kochani przyjaciele, którzy w takich sprawach są nieludzcy i cię opuszczają, to są twoje pieniądze w skrzyni, twoje krowy i konie w stajni, twój ogród i twoje pole, twój dom lub twój złoty zegarek. Ci nie pójdą z tobą, kiedy umrzesz. Drugi rodzaj przyjaciół, którzy cię aż do drzwi odprowadzają, to są twoi znajomi i krewni i inni ludzie ze wsi. Ci idą za trupem twoim aż do grobu, ale dalej już nie. Kiedy garsztkę ziemi wrzucili na trumnę twoją, wracają do domów i zostawiają ciebie samego. Ale któż są ci, co idą aż przed samego sędziego? To są dobre uczynki, uczynki miłosierne, któreś na ziemi w dobrym celu wykonał. Te sprawiają, że i ty miłosierdzia dostąpisz i drzwiami prosto do nieba wnijdziesz. Miej przecie rozum i bądź przezorny, a uzbieraj sobie znaczny zapas uczynków miłosiernych, bo przyjdzie czas, że w bardzo wysokiej stać będą cenie, a już za żadne pieniądze nie będzie ich można dostać. C. d. n.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Sty Marcelin (296--304) *Rzymianin.*

Po śmierci św. Kajusa obrano po jedenastu dniach Papieżem Marcelego Rzymianina, którego ojciec nazywał się Projektus. Papież ten przeżył wielkie prześladowanie kościoła katolickiego przez Dyoklecyana, najsroższe ze wszystkich prześladowań, które wyraźnie miało na celu zupełną zagładę kościoła, ale które tem się skończyło, iż kościół z tego morza łez i krwi zwycięzko wyszedł zwyciężając pogaństwo,

Za panowania Dyoklecyana bramy piekielne tj. wszystkie potęgi djabelskie wysilały się, aby zniszczyć kościół katolicki. Nietylko pozbawiono chrześcian wszelkich praw, nietylko gwałtem ich zmuszono, aby się Chrystusa wyrzekli, męczono i zabijano ich, ale niszczono ich kościoły, pisma, które poganie mogli dostać w swoje ręce, tak że w tem prześladowaniu za cesarza Dyoklecyana zginęły pisma bardzo ważne, w których zdarzenia z trzech wieków spisane były. Dla tego to mamy mało pewnych wiadomości o Papieżu Marcelinie, który także w tem prześladowaniu męczeńską umarł śmiercią. Obszerny opis tego prześladowania Euzebiusz nam pozostawił, który w tym czasie żył i którego opis o tem prześladowaniu właśnie dla tego, że żył w tym czasie, jest tem wiarogodniejszy. Ale Euzebiusz żył i pisał w Palestynie i jego spostrzeżenia odnoszą się głównie do kościoła wschodniego, o którym też dokładnie się rozpisuje; mimo to dowiadujemy się od Euzebiusza, jakie to były czasy, w których Marcelin rządził kościołem katolickim.

Był to rok 19 panowania cesarza Dyoklecyana, 303ci rok po narodzeniu się Pana Jezusa, gdy w miesiącu marcu przy zbliżającej się męce Pańskiej wszędzie poprzybijano edykta cesarskie, które głosiły, aby wszystkie kościoły chrześcian były zniszczone a ich książki spalone a wszyscy którzy jaki urząd piastowali, mieli być tego urzędu pozbawieni a niżsi urzędnicy mieli utracić wolność, gdyby chcieli nadal być chrześcianami. Wkrótce potem drugi edykt cesarski opiewał, aby wszystkich biskupów w kajdany okuto i aby ich zmuszono do oddawania bożkom pogańskim czci przez składanie ofiar. Wtenczas bardzo wielu z tych, którzy przewodniczyli parafiom, męczono okropnie, inni z bojaźni odpadli od wiary. Jedni byli rozgami sieczeni, innych w nieznośny sposób dręczyli na śmierć. Jednych gwałtem zmuszano, aby pogańskim bożkom ofiary składali, potem puszczono ich na wolność, jakoby rzeczywiscie te ofiary składali. Inni nie zbliżyli się nawet do ołtarza, ani się nie dotknęli żadnej nieczystości a mogli się zaraz oddalić, bo mówiono, że bożkom ofiarowali. Innych znów ze związanemi nogami po ziemi

wleczono a potem zaliczono ich do tych, którzy ofiarowali, a przytem jeden głośno mówił, że nie ofiarował, inny głośno chrześcianem się być wyznawał a trzeci uporczywie wołał, że ofiarować nie będzie. Takich starano się uderzeniem w twarz i biciem do milczenia przyprowadzić.

W Nikomedyi edykt prześladowania poprzybijano na miejscach publicznych. Gorliwy jeden chrześcian pochodzący z wysokiego stanu zdarł jeden z tych edyktów i podarł na drobne kawałki, chociaż cesarze Dyoklecyan i Galerius byli obecnymi w mieście. Za ten uczynek ów gorliwy chrześcianin, któremu na imię było Jan, musiał iść na śmierć, żywcem go spalono, ale do ostatniego tchu życia przechował on wesołość i spokój serca. Słudzy cesarza byli chrześcianami, ale nie chcieli bożkom ofiarować i umarli za wiarę chrześciańską. Jednego z nich podniesiono w górę i całe jego ciało rozgami pokaleczono, tak że kości można było widzieć a na rany wylano ocet i solą obsypano. Gdy on i na te boleści nie zważał, przyniesiono rożen i ogień i tak powoli go upieczono. Jako zwycięzca wytrwały wśród tych mąk oddał ducha Bogu. Ten cesarski służący nazywał się Piotrem. Podobnie umarli inni słudzy cesarscy. Biskupowi Antoninowi z Nikomedyi dla wiary ścięto głowę, z nim umarło wielu męczenników, podczas gdy właśnie w tym samym czasie z niewiadomej przyczyny w pałacu cesarskim w Nikomedyi, wybuchł ogień, rozeszła się pogłoska, że chrześcianie pałac podpalili, wskutek tego gromadnie tamtejszych chrześcian pozabijano lub spalono a przytem stało się, że mężowie i niewiasty z niebieską radością, i niewypowiedzianym entuzyazmem w stos rozpalony się rzucali. Innych kaci związali, włożyli do czołen i w głębokości morskie wrzucili.

Wkrótce potem patrzano na widowisko, które wszelkie wyobrażenie ludzkie przechodzi. Uwięziono we wszystkich miejscach niezliczoną liczbę chrześcian. Więzienia były zapełnione biskupami, kapłanami i diakonami. Wydano trzeci edykt, który opiewał, aby więźniom rozkazano boko m ofiary składać; kto będzie posłuszny, ma być z więzie-

nia wypuszczonym. Któż tu jest w stanie policzyć tych męczenników, którzy za wiarę umierali w pojedyńczych prowincyach państwa a mianowicie w Afryce, Marytanii, Tebais i Egipcie! W Egipcie niezliczona liczba mężów, niewiast i dzieci doczesne swoje życie Zbawicielowi na ofiarę złożyli w różny sposób umierając, jednych męczono okrutnie, innych w morzu topiono, innym głowy poucinano, innych głodem morzono, innych krzyżowano. A Chrześcianie z radością przyjmowali wyrok skazujący ich na śmierć a nieraz do ostatniej chwili życia wśród mąk wielkich śpiewali pobożne pieśni.

We Frygii żołnierze podpalili całe miasteczko, zamieszkane przez chrześcian, mężczyzni, żony i dzieci znaleźli śmierć w płomieniach. W Arabii zabijano chrześcian toporem, w Kapadocyi łamano im nogi, innych wieszano do góry nogami, podkładając pod ich głowy powolny ogień, innym ucinano nosy, uszy i ręce. Sędziowie wymyślali coraz to gorsze i okrutniejsze sposoby męczenia, ale nareszcie sprzykrzyły im się te mordowania i wyszedł rozkaz, aby wybijano chrześcianom oczy i im jednę nogę kaleczono. Wskutek tego rozkazu bardzo wielu ludzi straciło najprzód prawe oko a potem lewą nogę żelazem rozpalonem im pokaleczono. Tak pisze historyk Euzebiusz. C. d. n.

RÓŻA LEŚNA.

Powiastka z życia Indyan amerykańskich.

Ciąg dalszy.

Podczas gdy część Indyan puściła się w pogoń za zbiegiem, inni związali Karola na nowo, położyli go twarzą do ziemi, przywiązali do dwóch drzew i obstawili jeszcze silniejszą strażą. Na ten sposób Karól nie mógł mieć już żadnej nadziei ocalenia w ucieczce.

Wreszcie zajaśniał dzionek i uwolnił biedaka ze straszliwych męczarni. Nie mógł się Karol czego innego spodziewać, tylko śmierci, ztąd też sobie życzył, aby to, co ma nastąpić, nastąpiło co rychlej. Jednakże słońce stało już wyso

ko, zanim wezwano go do ogniska, gdzie siedziała rada indyańska pod przewodnictwem samego naczelnika.

Rozwiązano Karolowi nogi, tylko zostawiono więzy na rękach. Przyprowadzony przez dwóch strażników, postanowił patrzeć śmiałem okiem, aby oznaką bojaźni nie podwyższyć tryumfu swych nieprzyjaciół. Sędziowie jego siedzieli w poważnem milczeniu półkolem przy ogniu. Karól spojrzał na nich śmiało, lecz nie mógł zapobiedz, aby mu serce mocniej nie biło, jak zwyczajnie, do czego się przyczyniły ponure, zimne twarze tych, w których ręku było jego życie.

Czarne pióro, naczelnik Komanszów, brat zabitego Nintsapawa, prawdziwie olbrzymia postać, siedział w środku pomiędzy swymi wojownikami na nieco wywyższonem miejscu. Jako oznakę swej godności miał na sobie płaszcz ze skóry wydry, a we włosach trzy czaple pióra. Kilka minut wpatrywał się w Karola wzrokiem pełnym nienawiści, a potem zwolna powstał i swą olbrzymią postać wyprostował.

— Wojownicy Komanszów! — rzekł, a głos jego brzmiał jak oddalony grzmot, albo jak gniewny mruk jaguara, — krwawy czyn popełniono. Dwaj bladolicy ludzie wtargnęli w nasze lasy, aby zabijać niedźwiedzie i bobry i zwierzęta, których czerwoni wojownicy potrzebują na swoje wyżywienie. Lecz niezadowolnieni rabunkiem własności czerwonych wojowników, splamili jeszcze swe ręce krwią naszego szczepu. Jeden z wigwamów naszych stoi pusty, a miejsce przy ognisku narady opróżnione. Nintsapaw, Krwawy nóż, jeden z najmężniejszych a brat Czarnego pióra, waszego naczelnika, znikł z pośród was. Padł on pod nożami bladolicych! Jeden z winnych umknął z rąk strażników, a nasi towarzysze są za nim z pogonią. Drugi jednakże stoi przed nami i nie powinien ujść kary... Pstry wąż niech wystąpi i powie co wie.

Ze szeregu młodszych wojowników, którzy wielkiem kołem otaczali ognisko narady, wystąpił Indyanin mający dać świadectwo o winie bladolicych. Był to ów drugi Indyanin, który z Nintsapawem napadli na traperów zeszłej nocy.

Pstry wąż, — taki był jego przydomek, — był widocznie pomięszanym, a opowiadając, przeustawił rzecz tak, jakoby myśliwi ich byli napadli i po długim dopiero oporze zabili Nintsapawa, a jemu z trudnością tylko uciec się udało. Kiedy skończył, naczelnik zawołał:

— Bladolicy niech mówi, co ma na to oskarżenie do powiedzenia?

— Że to jest kłamstwem, bezczelnem kłamstwem! — zawołał Karól po indyańsku, znając ten język dość dobrze, aby się w nim gładko wysłowić, — wojownicy Komansze, nie wierzcie waszemu towarzyszowi, któremu wina stoi wypisaną na pomięszanem obliczu. Nie mój przyjaciel i ja napadliśmy na nich, ale ten tam wraz ze zabitym przyczołgali się podstępnie w ciemnej nocy do nas, aby nas zamordować. Tylko w naszej obronie przelaliśmy krew Nintsapawa. — Mężowie Komanszów, czy potępicie tego, który mordercy napadającemu podstępnie utopi nóż w piersiach?

— Bladolicy są obłudni, a język ich rozdwojony! — krzyknął Pstry wąż, mierząc jadowitym wzrokiem bladolicego, który jego czyn bez miłosierdzia odsłonił; — nie wierzcie mu Komansze! Oni to właśnie po cichu, niby pantera, przyczołgali się do naszego koczowiska.

Chciał jeszcze coś dalej mówić, ale naczelnik zakazał mu tego giestem.

— Na cóż tu tyle słów? — rzekł Czarne pióro; — sam bladolicy przyznaje, że swe ręce zmaczał krwią Nintsapawa, którego śmierć jego wymaga zadosyćuczynienia. Mądrzy pomiędzy Komanszami niech roztrzygną, jaką karę ma otrzymać bladolicy.

Po tych słowach usiadł, wziął kalumet (fajkę), leżący nałożony przy ognisku, pociągnął silnie, wypuścił kłęb dymu, i podał kalumet następnemu, który uczyniwszy tak samo, podał go dalej.

Kiedy kalumet obszedł koleją, podniósł się ostatni z rzędu, do którego kalumet także na końcu się dostał.

— Nintsapaw, nie pozostawił żony, — rzekł z namysłem, — gdyż w tym razie wymagałoby prawo, aby zabójca wcią-

gnął do opustoszałego wigwamu, pozbawioną żywiciela żonę zaopatrywał w zwierzynę i ryby, a ona by mu tłukła zboże w stępach i szyła mokasyny (trzewiki).

To rzekłszy usiadł i spojrzał na swych towarzyszy. Teraz z kolei powstało kilku wojowników, lecz ich słowa i ruchy były niecierpliwe a wzrok dziki. Wymagali oni krwi bladolicego, który zabił jednego z ich szczepu. Cała rada przychyliła się do tych żądań, a dzikie okrzyki przysłuchujących się wojowników służyły za dowód, że rada trafiła w myśl wszystkich.

— A więc, — rzekł uroczyście naczelnik, — jest postanowionem, że krew bladolicego popłynie w zamian za przelaną krew Nintsapawa. Wojownicy Komanszów niech poczynią przygotowania, aby bladolicy umarł, zanim słońce zajdzie, a medycynery*) niech wzywają Wielkiego ducha, żeby był łaskaw na naszą ofiarę.

Karól mało, albo wcale nic nie uważał na przygotowania, jakie dla niego czyniono. W niemem poddaniu się swemu losowi, oczekiwał przeznaczenia w stałości. W jego nieszczęściu było mu to jedyną pociechą, że Bob uszedł szczęśliwie gdyż pogoń wróciła z niczem.

Już słońce zniżało się ku zachodowi, kiedy przygotowania skończono. Pal, przy którym miał być męczonym, stał już wbity, a obok stós drzewa, na którym bladolicy po wytrzymaniu rozmaitych męczarń, miał być spalonym.

Wreszcie przyprowadzono jeńca do pala, gdzie go naczelnik otoczony wojownikami, w milczeniu oczekiwał, podczas gdy młodzież z kobietami wesołe wznosiła okrzyki.

Karola przywiązano do pala.

— Bladolicy ma umrzeć, — odezwał się teraz naczelnik donośnym głosem, — ale święte nasze prawo, nakazuje, aby, jeźli która z naszych córek wybierze go sobie dobrowolnie za męża, pozostał przy życiu i stał się naszym wojownikiem. Nie wolno nam prędzej krwi jego przelewać, dopóki się córek naszego pokolenia nie zapytamy.

---

* Medycynery u Indyan są kapłani, lekarze i czarnoksiężnicy zarazem. Wielkie mają oni znaczenie.

Odezwanie się to naczelnika przyjęto częścią ze szemraniem, częścią ze śmiechem. Każdy był bowiem przekonanym, że tu tylko chodzi o przestarzały zwyczaj, który jednak bladolicemu życia nie uratuje, ponieważ żadna z córek Komanszów się nie znajdzie, którąby mu swą rękę oddała. Markotni byli zaś tylko na to, że podaremnie uciecha ich dozna zwłoki.

Jeniec na to wszystko, co zaszło, mało zwracał uwagi. Niczego się nie spodziewał, przeto życzył sobie, aby jak najprędzej mógł skończyć męczarnie tak moralne jak i cielesne. Nagle ze zdziwieniem zauważył, że hufiec wojowników się rozstąpił, a dziewczęta indyańskie ustawiły się w długim szeregu. Przelotnie tylko rzucił na nie okiem, ale w tej chwili zadrżał gwałtownie. Na czele dziewcząt stała młoda, piękna Indyanka, ta sama, której on uratował życie, sam się narażając na rozszarpanie kłami i pazurami szarego niedźwiedzia. Patrzał teraz na nią, niby na jakie nadziemskie zjawisko, a promień nadziei rozjaśnił jego zbolałą duszę. Dziewczę stało od niego o pięćdziesiąt kroków i miało spuszczone oczy.

— Córki Komanszów, — wyrzekł teraz Czarne pióro zimno i pogardliwie, — tam oto stoi bladolicy, zmazany krwią naszą. Jeźli go która chce mieć za męża, niechaj wystąpi i rozetnie mu więzy, aby mógł być przyjętym do naszego pokolenia.

W oczekiwaniu wszystkich oczy zwróciły się teraz na dziewczęta, od których zależało w tej chwili życie bladolicego.

Karól zaś wpatrywał się ustawicznie w znajomą sobie dziewczynę, którą tak ze stroju jako też z pierwszeństwa pomiędzy innemi, uznawał za córkę samego naczelnika. Oddech mu się zapierał, gdyż widział, że ona widocznie walczy z postanowieniem, chociaż stoi nieruchoma w miejscu. Nagle zatrzęsła się gwałtownie, a potem ze wzniesioną głową, oblana rumieńcem, ale ze stałością w oku, opuściła szereg towarzyszek i poczęła iść ku jeńcowi.

Tego się nikt nie spodziewał. Groźny szmer przebiegł

po szeregach wojowników naczelnik uskoczył w bok, jakby był nadepnął na jadowitą żmiję, a z ust jego wydobył się o krzyk zgrozy, wściekłości. Przez chwilę zdawało się, że jak tygrys rzuci się na córkę, idącą śmiało do pala, lecz wstrzymał się, tylko ponurym wzrokiem patrzał na odważną dziewczynę, która właśnie doszła do pala.

— Bladolicy, — rzekła dziewczyna, — uratował życie „Róży leśnej,“ Attahibie, córce Czarnego pióra, naczelnika Komanszów, kiedy ją szary niedźwiedź napadł nad brzegiem rzeki. Bladolicy niech otrzyma teraz życie z jej ręki.

I szybko przeciąwszy rzemienie, schwyciła za rękę młodego bladolicego, nie mogącego pojąć co się z nim dzieje, i ztąd niemo stojącego przed piękną dziką dziewczyną, i pociągnęła go ze sobą na miejsce, gdzie ją naczelnik z pierwszymi oczekiwał wojownikami.

— Naczelniku Komanszów i wy wojownicy walecznego i wielkiego pokolenia, — rzekła stanowczym głosem, — Attahiba wybór swój uczyniła. Tu stoi bladolicy, którego sobie wybrała. Przyjmijcie go do waszego pokolenia, aby z wami razem wojował i przy ognisku narady palił kalumet!

Ponurym wzrokiem mierzył naczelnik czas niejaki swą córkę.

— Attahiba, — rzekł po chwili, — uczyniła, co jej prawo dozwala. Kiedy ona tego chce, musi bladolicy być przyjętym do naszego pokolenia, ze zastrzeżeniem, że się okaże godnym jako wojownik. Jednakże, kiedy się córka naczelnika Komanszów tak dalece zapomniała, że wybrała sobie nieprzyjaciela jej pokolenia, to tem samem odstąpiła swego ojca. Czarne pióro nie zna jej więcej. Czarne pióro nie ma już córki.

— Ojcze! — zawołała Attahiba, zbliżając się do niego ze drżeniem, — on mi życie uratował ja uczyniłam jedynie, co było mym obowiązkiem.

Lecz naczelnik odwrócił się od niej z pogardą.

Postępek Attahiby wywołał mianowicie pomiędzy młodzieżą wielkie wzburzenie. Podbechtywani przez Pstrego węża, żądali natychmiastowej śmierci bladolicego. C. d. n.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Widząc Moskale, że już tyle natracili wojska, a Napoleonowi nic zrobić nie mogą, zabrali się i poszli zkąd przyszli. Już też teraz Polacy byli pewni, że kiedy Napoleon dwóch naszych ciemiężycieli w niwecz obrócił, to go już nic nie będzie kosztowało, choć im Polskę odbierze, a Polakom odda, a potem już sami poradzą Austryakowi. Ale gdzież tam, ani pomyślał cesarz Francuzów o takiej sprawiedliwości, bił on się na polskiej ziemi nie o Polskę, jeno kto ma światem rządzić, on czy dawni monarchowie, a kiedy ich pobił, więc został panem swiata, to mu i dosyć, a Polsko, jak sobie chcesz. Oj pamiętajmy mili ludzie; że łaska pańska na bystrym koniu jeździ. Byłby sobie mógł Napoleon rozpomnieć krew Polaków, co nią skropili wszystkie świata strony za wolność jego kraju, kości ich, co bieleją na wszystkich pobojowiskach obok kości Francuzów. Ale miałże ten o tem pamiętać, który dla wielkiej swojej pychy zdeptał wolność własnej Ojczyzny, i z wolnego Francuza stał się jej panem!

Napoleon zaprzyjaźnia się z carem Moskiewskim i zamiast przywrócić Polskę, ustanawia małe Księstwo Warszawskie.

Po skończonej wojnie zjechał się Napoleon z carem Moskiewskim Aleksandrem w mieście Tylży nad rzeką Niemnem. Nigdy oni się w życiu nie widzieli, wiedli tak długie i krwawe wojny między sobą, a jednak się ześli, uściskali się i rozmawiali tak przyjacielsko, jak dwóch rodzonych braci, co się dawno nie widzieli. Bo cóż im do tego, choć ich Ludy krew i łzy strumieniami lały, oni szafowali życiem i majątkiem swoich Narodów tyle, co im było potrzeba dla ich monarszej pychy. Po takiem zaprzyjaźnieniu Napoleona z carem, pokazał się i król pruski. I tego cesarz Francuzów ucałował i przyobiecał mu nie zabierać całego kraju; na tem stanęło: że Polski nie będzie, jeno ten kawał, co Prusacy zagarnęli w trzech zaborach, Napoleon przezwie Księstwem Warszawskiem i odda Polakom. Ale i z tego jeszcze daruje kraj Prusakom od Litwy aż do Pomorza, a Moskalom kawał kraju składający się z kilkunastu powiatów. Miasto zaś Gdańsk miało się rządzić samo. Na książęcia Warszawskie-

go wyznaczył tego samego Elektora Saskiego z Drezna, co go to na sejmie konstytucyjnym Polacy obrali.

Nie tyle gospodarz truchleje, kiedy widzi spadające grady i piorony na jego pełne kłosów zboże, jak struchlał Naród polski na wiadomość zmowy Tylżyckiej Napoleona z naszymi ciemiężycielami — widzieli dopiero wszyscy, że za nadto Francuzom zaufali, że nie masz Narodu na świecie, coby miał rzetelne zamiary dla Polski. Płacz i narzekanie rozległo się po krajach polskich, które pozostały w jarzmie niewoli, wtenczas właśnie, kiedy myśleli, iż uderzyła godzina ich wybawienia. Z 20. milionów zaledwie 2 miliony miały Ojczyznę. Umierający też natenczas marszałek Małachowski konającemi usty przeklinał Napoleona: aby sam popadł i umierał w ciężkiej niewoli. I spełniło się to przekleństwo cnotliwego starca, jak wam to później opowiem.

Rządy Francuzów w Polsce.

Wśród tego wielkiego utrapienia nadesłał Napoleon Polakom konstytucyą, aby się podług niej rządzili. Odczytawszy ją Naród dosyć się ucieszył, bo przynajmniej zostawiono każdemu człowiekowi wolność; szlachcic, chłop, mieszczanin, wszyscy podług tej konstytucyi uważani byli za braci, i jednych praw i rządów mieli słuchać. Sejm miał się zbierać co dwa lata, a w nim wszystkie stany miały radzić nad potrzebami kraju. Zdzierstw też żadnych nie było, bo urzędnicy sami Polacy, gdyż choć to były rządy Napoleona, ale Francuzi nie cisną się do wyjadania cudzego chleba, pracują w swojej Ojczyźnie i w niej mają wyżywienie, bo nie mają psiej natury, co to za kawałkiem chleba leci i na drugi koniec świata. Było jednak za tych Francuzkich czasów biedy pod uszy, bo kraik mały, a wystawił wojska aż do 90 tysięcy. Oj! gdyby tak to wojsko było można obrócić na Moskwę i Austryą, a odbierać co swoje, toby było szczęściem. Ale tu cesarz Napoleon pan połowy świata inaczej rozkazał, bo zabrał większą część i posłał na Hiszpanów. Krajało się polskiemu żołnierzowi serce, że idzie wojować Lud obcy, który broni swojej wolności, a który na przeciw Polsce nigdy nie zgrzeszył. Wiele też polskiego żołnierza porozrzucano w niemieckich krajach dla strzeżenia Francuzom fortec, innych znowu posłano do Włoch na Austryaków. Dla strzeżenia zaś granic Księstwa Warszawskiego zostawiono księciu Poniatowskiemu 13 tysięcy wojska.

Ciąg dalszy nastąpi.